

Pojechałam do Omska

Nasza kolonia Gwoździec, pow. Kołomyja liczyła 27 numerów. Wszyscy byli średnio zamożnymi rolnikami.

W nocy 10 II 1940r zbudziło nas ostre stukanie do drzwi. Ktoś z rodziny otworzył. Była godzina pierwsza w nocy.

Weszli do domu: Żołnierz radziecki, Ukraińiec i żyd Abraham Drenel. Najpierw zrobili rewizję. Żołnierz powiedział, że szukają broni. Oczywiście broni nie było.

Po rewizji rozkazali ubrać się, bo nas zabierają i wywożą do Ręczowa.

Żyd Abraham Drenel przyjaźnił się z moim ojcem. Szepnął mi abym leżała, że mnie nie wezmą. Powiedział do mnie w tym czasie jak tamci dwaj zajęci byli rewizją.

Ja jednak zdecydowałam się iść z mężem. Byłam w ósmym miesiącu ciąży. W moim stanie zostać bez męża? Wstałam z łóżka, ubrałam się.

Mąż milcząco pakował kołdrę, poduszkę i jakieś drobiazgi. Ja z domu nic nie wzięłam. Miałam tylko to co na sobie.

Wyszliśmy z naszego domu:

Katarzyna	Walankiewicz	ur	?	teściowa
Zbigniew	"	ur	?	wnuczek Katarzyny
Eugenia	"	ur	1918	synowa Katarzyny autorka wspomnień
Franciszek	"	ur	1903	syn Katarzyny mąż Eugenii
Zofia	Harchala	ur	?	córka Katarzyny
Eugeniusz	"	ur	1926	syn Zofii

Jak wyszliśmy z naszego domu, to Ukraińiec powiedział: "Kto z domu w sobotę wyjeżdża, to nigdy nie wraca.

Przed domem czekały sanie. Zawieźli nas do stacji, zakładali do wagonów towarowych.

W wagonie były prycze piętrowe. Pośrodku żelazny piec, w którym nie było czym palić. Bliżej drzwi dziura w podłodze jako ubikacja.

Tak dojechaliśmy do Lwowa. We Lwowie przesiadka, ale też do wagonów towarowych z pryczami i dziurą w podłodze.

Już wiedzieliśmy dokąd jedziemy. Z tym Rzeszowem to było kłamstwo.

W czasie podróży na postojach /widocznie w tym celu wyznaczonych stacjach/ dawali nam jeść: chleb, kaszę jaglaną do picia gorącą wodę. Przynosili nam do wagonu, a myśmy sami się dzielili.

Jechaliśmy przez cztery tygodnie. W podróży mieliśmy już wszyscy wszy.

Nie pamiętam stacji na której wysiedliśmy. Wieziono nas jeszcze samochodami, saniami i dojechaliśmy do Ingairu, obłast Omsk, rejon Tobolsk w dniu 8 III 1940r.

Były tam dwa baraki, stołówka, piekarnia, łaźnia, magazyn. Był dom bliźniak, ale w nim mieszkały dwie rosyjskie rodziny.

My zamieszkaliśmy w baraku. Prycze w baraku były od ściany do ściany. Spaliśmy na nich jeden przy drugim - taki jeden ciąg przez cały barak. Leżeliśmy jak śledzie w beczce, w ciasnocie. Ludzi było bardzo dużo.

W środku baraku był piec i jak ktoś miał z czego to, można było gotować. Nasza rodzina nic nie miała.

Pamiętam, że dawali nam do jedzenia: kluski z ciemnej mąki, zupę rybną, kaszę jaglaną. Porcje małe.

Mąż poszedł do pracy w lesie.

W dniu 15 III 1940r przyszedł do baraku majster Ogarkow i powiedział do mnie: "Zawieziemy ciebie do porodówki, bo jak będą roztopy, to nie będzie możliwości dojazdu".

Saniami zawieźli mnie do porodówki na małym Ingairze. Odległość od baraku trzydzieści kilometrów.

W sali porodowej były dwie Rosjanki i ja. Urodziłam 23 III Cierpiałam przez trzy doby. Syn Staś ważył pięć kilogramów i trzydzieści dekagramów. W tej izbie porodowej byłam do połowy maja.

Wróciłam do baraku. Przywieźli mnie z synem wozem dwókółą. Pieluch nie miałam. Polacy, z którymi mieszkałam w baraku, dali mi prześcieradła na pieluchy.

Dziecko karmiłam piersią do dziewięciu miesięcy. Później dawali dla dziecka kaszę jaglaną, mleko, ale były to porcje małe, wydzielone.

Ja dostawałam trzydzieści dekadangów chleba dziennie i chochlę zupy.

Mąż zrobił niecki i w nich kąpałam syna. Czasem, ale to bardzo rzadko, dostawałam mały kawałeczek mydła. Mogłam nim kilka razy umyć dziecko. Pieluchy i bieliznę prałam w żugu zrobionym z popiołu drzewnego.

Komendant Kisielow opiekował się nami. Był nawet zadowolony, że urodziłam syna. Powiedział: "Urodził się polski komunista".

W baraku naszym było trzynaście niemowląt. Z tego dziesięć zmarło.

Zmarła również Zofia Harchala. Miała padaczkę. Po ataku padaczki komendant Kisielow zabrał ją z baraku i już do nas nie wróciła.

W 1941r przeniesiono nas do posiołku Pinia.

Tam nasi mężowie pobudowali domki drewniane - czworaki. W baraku był piec, można było nawet gotować, ale nasza rodzina nie miała co gotować. Nie mieliśmy ubrań na zamianę za żywność u miejscowej ludności.

W tym baraku do spania mieliśmy żelazne łóżka z siennikami. Ja poszłam do pracy w żłobku. Zabierałam ze sobą syna Stasia. Mąż pracował w lesie.

W 1941r pod jesień dostaliśmy od miejscowych władz zaświadczenie i na tej podstawie mogliśmy wyjechać do Tobolska.

Zamieszkaliśmy z rodziną w budynku. Warunki mieszkaniowe były lepsze. Tylko ciągle jesteśmy głodni.

Ja chodziłam po domach wróżyć. Płacili dobrze. Dostawałam mleko, ziemniaki, mąkę.

Mąż w Tobolsku pracował przy spławie drzewa.

Po kilku miesiącach przenieśliśmy się do pracy w Bugince, z nadzieją, że nam tym będzie łatwiej o żywność.

Zamieszkaliśmy w kołchozie. Mieliśmy jedną izbę. Ja pracowałam w brygadzie rybackiej, mąż w kołchozie. Dostawaliśmy chleb,

ziemniaki, pół litra mleka na osobę.

Naczynie na mleko, to banka zrobiona z kory brzozonej. Tutaj łatwiej było nam żyć, już nie cierpieliśmy głodu.

We wrześniu 1942r mąż poszedł do Armii Berlinga. Poszedł również do wojska Eugeniusz Harchala.

Pozostałam z teściową, jej wnuczkiem Zbigniewem i moim synkiem Stasiem. Muszę sama troszczyć się o ich wyżywienie.

Kierownik kołchozu w Bugince wysłał mnie po mąkę do magazynu. Pojechałam saniami. Wzięłam brzytwę męską z zamiarem sprzedania za żywność.

Z magazynu otrzymałam przydzieloną mąkę, po którą wysłał mnie kierownik.

Za brzytwę dostałam od magazyniera chyba dziesięć kilogramów mąki.

Wróciłam z magazynu wprost do piekarni, gdzie oddałam mąkę, a swoją zostawiłam na saniach. Kierowniczką to zobaczyła. Telefonicznie zgłosiła magazynierowi, że zostawiłam sobie mąkę. Wieczorem wezwali mnie do biura, bo ukradłam mąkę.

Powiedziałam, że magazynierowi dałam brzytwę, a on za to dał mi mąkę. Nie uwierzyli. Magazynier zresztą wszystkiemu zaprzeczył. Do domu jednak pozwolili mi wrócić.

Za dwa tygodnie w nocy, zabrali mnie z domu do więzienia. Odbył się sąd i skazali mnie na pięć lat pozbawienia wolności.

W więzieniu pracowałam jako brygadzistka, tynkowałam domy. W 1943r po rocznym pobycie w więzieniu, zwolnili mnie.

Gdy wróciłam, teściowa już nie żyła. Mój syn Stasiu i bratanek Zbyszek byli w sierocińcu w Tobolsku.

Poszłam do pracy w kołchozie Antypina. Pracowałam przy wszystkich pracach polowych, jakie mi tylko dano.

Z kołchozu w Antypina do Tobolska było 180 kilometrów. Co dwa tygodnie dostawałam konie i mogłam jechać do dzieci w sierocińcu.

W sierocińcu dzieci miały dobre warunki. Było czysto i dzieci miały co jeść. Zresztą docierały tam już dary angielskie dla Polaków.

Ja też tam dostałam: buty, czapkę, kilka rubli.
Do kołchozu Antypina dotarła wiadomość, że należy jechać do miejscowości Tiumień po dary. Odległość 240 kilometrów. Pojechałam po dary końmi, nic jednak nie przywiozłam. Dary dla Polaków były, ale zostały rozkradzione.

W maju 1946r pełnomocnik zawiadomił nas Polaków, że kto chce, może jechać do Polski.

W kilka dni później był na przystani statek dla Polaków. /nazwy rzeki nie pamiętam/.

Wsiadłam na statek, Dzieci też były na statku z sierocińcem. I tak oddzielnie wracaliśmy do Polski.

W czerwcu 1946r byłam na dworcu w Poznaniu. Bratanek Zbyszek pojechał do domu dziecka w Gdańsku. Tam ukończył szkołę, usamodzielniał się.

Ja ze Stasiem pojechałam do ojca. Odnaleźliśmy się z mężem. Spełniły się słowa Ukraińca. Domu rodzinnego już nie zobaczyłam.

Za zgodność:

Eugenia Walankiewicz
Eugenia Walankiewicz
58-311 Struga
ul Główna 45/1

Struga 8 III 1990

Struga 23 I 1991r

Wspomnienia spisała

Czesława Tarnawska
Czesława Tarnawska